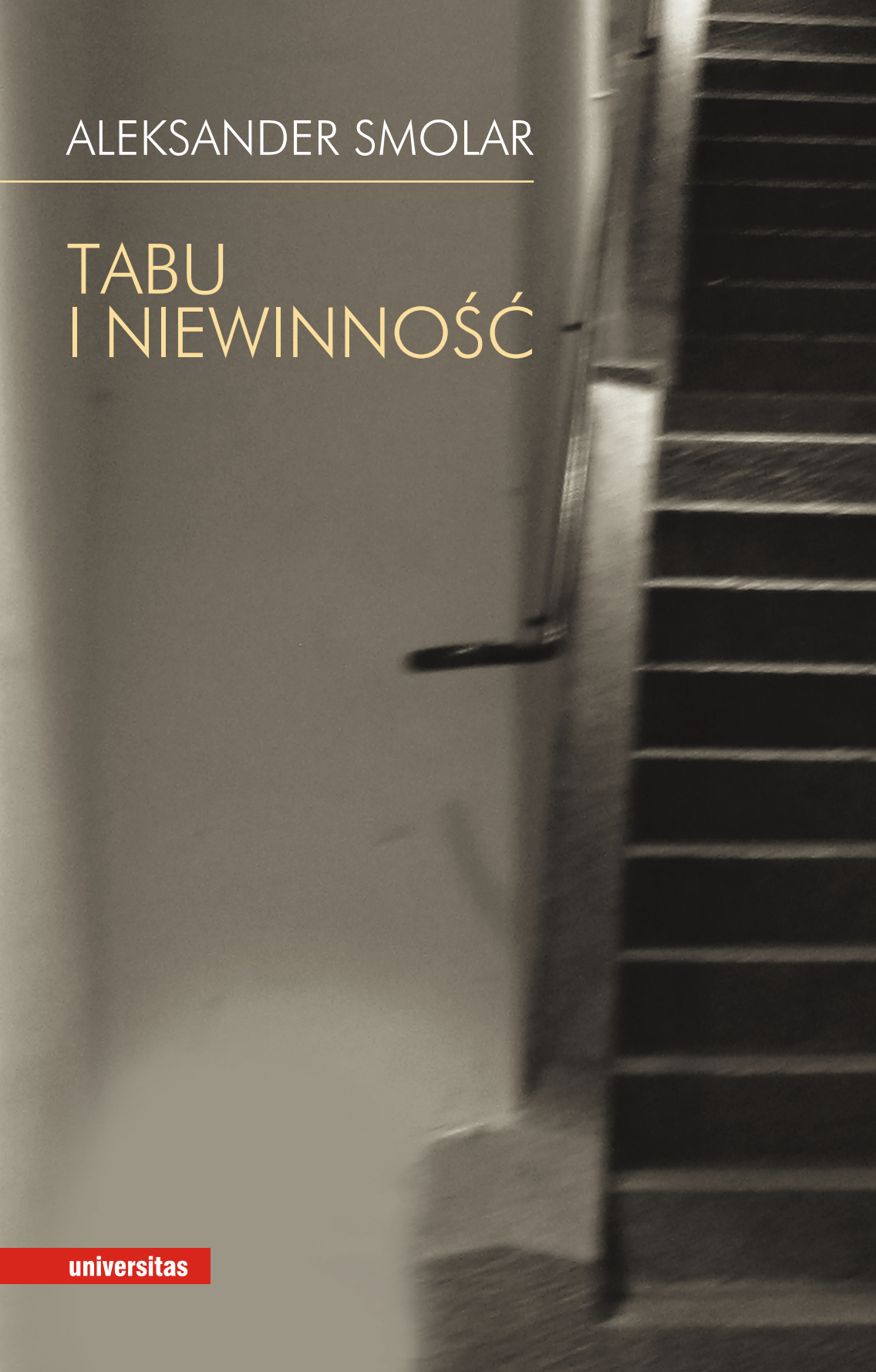




ALEKSANDER SMOLAR

TABU I NIEWINNOŚĆ

universitas

TABU
|
NIEWINNOŚĆ

ALEKSANDER SMOLAR

TABU I NIEWINNOŚĆ

Wybór i opracowanie
Mikołaj Lipiński i Helena Łuczywo

Kraków

© Copyright by Aleksander Smolar and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2010

ISBN 97883-242-1429-7
TAiWPN UNIVERSITAS

Redakcja
Izabella Sariusz-Skąpska

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Spis rzeczy

<i>Timothy Garton Ash</i> , Wstęp	7
Jechałem w pustkę, wracałem z radością	15

Polska rewolucja

KOR	27
Między ugodą a powstaniem	45
Potrzeba rozmowy	61
Co będzie, jeśli wygra SLD?	65
Polska rewolucja	75
Przygody społeczeństwa obywatelskiego	93
Lustracja na naszą miarę	107
Rewolucja bez utopii	121
Melduję się z życzeniami, Panie Prezydencie	137
Radykałowie u władzy	149
Od rewolucji do apatii	173

Pamięć i wspólnota narodów

Tabu i niewinność	185
Polityka zagraniczna i jej przeciwnicy	227
Mit Francji niepokalanej	243
Bicz na dyktatorów	255
Paryski Maj i polski Marzec	265
Rosja w Nowym Świecie	277
Pamięć i wspólnota narodów	287

Rozmowy i pożegnania

Rozmowa z Raymondem Aronem	301
Rozmowa z Jerzym Giedroyciem	313
Pożegnanie Kota Jeleńskiego	341
Uczynić świat znośnym. Jacek Kuroń	347
Hołd antybohaterowi. Marek Edelman	355
Nota wydawcy.	365
Indeks nazwisk	367

Wstęp

Timothy Garton Ash

Słowo „analiza” ma starogreckie korzenie i pierwotnie znaczyło rozkładanie czegoś na części, celem lepszego zrozumienia. W różnych znaczeniach pojawia się w matematyce, gramatyce, chemii i optyce. W filozofii słowo to ma dalsze konotacje: „poszukiwanie źródeł badanej rzeczy”, odkrywanie ogólnych zasad tkwiących u podłoża określonych zjawisk.

Aleksander Smolar jest znakomitym analitykiem polskiej polityki, moim zdaniem najlepszym z żyjących. Można spytać, jaki zestaw cech o tym decyduje. Odpowiedzi dostarczają zebrane tu eseje. Analizując jego analizy, dostrzegamy elementy składowe.

Po pierwsze, można powiedzieć o nim w czasie teraźniejszym to, co on sam mówi tu w przeszłym o Marku Edelmanie: „pasjonował się polityką”. Znajomy Anglik powiada, że brytyjska polityka jest dla niego jak grany codziennie teatralny spektakl. Budzi się rano i myśli: „co też zdarzy się dzisiaj na scenie?” Sądzę, że tak jest z autorem tych esejów.

Wielu dzielących z nim tę pasję wybrało karierę polityka, angażując się bezpośrednio w partyjną rywalizację o władzę. Smolar, owszem, włączył się czynnie we wspieranie KOR-u i całej polskiej opozycji demokratycznej, a po roku 1989 partycypował w narodzinach, życiu doczesnym i wreszcie pozagrobowym Unii Wolności i Unii Demokratycznej. Jednak zawsze zachowywał tak potrzebny dobremu analitykowi krytyczny dystans. Wiedział, że „słowo ma znaczenie decydujące”, by zacytować Jerzego Giedroycia z zamieszczonej w tym tomie rozmowy. Dlatego używał słów nie jak polityk,

dla którego są one instrumentem walki o władzę, tylko jak intelektualista, któremu pomagają w dochodzeniu do prawdy. W tym sensie był zawsze *spectateur engagé*, by użyć klasycznej formuły kojarzącej się z innym jego rozmówcą, Raymondem Aronem.

W przypadku Smolara ów decydujący krytyczny dystans to nie tylko postawa duchowa – także fakt geograficzny. Opuściwszy Polskę w 1971 roku wskutek niesławnych wydarzeń Marca 1968 i ich konsekwencji, które snują się po tej książce jak duch ojca Hamleta, przez blisko 40 lat mieszkał w Paryżu. Ostatnie 20 spędził między Paryżem a Warszawą. Zarówno w długofalowym, biograficznym sensie, jak i doraźnym – z tygodnia na tydzień – można nazwać jego życie nieprzerwaną podróżą z Warszawy do Warszawy. Smolar zna najświeższe szczegóły każdego, jakkolwiek błahego wydarzenia w polskiej nieraz przygnębiającej polityce, lecz zarazem potrafi z paryskiego dystansu ujrzeć szerszy obraz. Szczególnie wzbogacające, co widać wyraźnie w tej książce, okazują się międzynarodowe porównania – z Europą Środkowo-Wschodnią, lecz i dużo dalsze. Słychać w niej niemilknące echa autorytarnych i post-autorytarnych doświadczeń Hiszpanii, Portugalii i Ameryki Łacińskiej.

Te geograficzne obserwacje przenoszą się na literaturę. Jak jego przyjaciel Pierre Hassner – aronowskiego chowu analityk stosunków międzynarodowych – tak i Smolar robi wrażenie, że wszystko przeczytał i każdego wysłuchał. Jego teksty roją się od odniesień do innych autorów i myślicieli, których spostrzeżenia często kondensuje w jedną zwięzłą i celną formułę. Jego teksty, a zwłaszcza rozmowy z nim są niczym szkatułka z klejnotami wyjmowanymi z oszałamiającą szybkością. Tyle jest do powiedzenia, tak mało czasu. Jednak zrozumienie subtelności, złożoności i niuansów nie przesłania Smolarowi szerszego widoku – patrząc na drzewa, widzi i las.

Smolar ma dar reportażysty uchwycenia istotnych szczegółów (talent w pełni rozwinięty w opisach postkomunistycznej Europy jego syna Piotra). Zauważa na przykład, że w latach 1976–1977 datki na KOR zbierano w niektórych ministerstwach albo że w Bolonii w 1971 roku spotkał więcej komunistów niż dotąd przez całe życie w Polsce. Lubi też termin „olszewicy” oznaczający polską radykalną prawicę po 1989 roku. Jednak nie zatrzymuje się długo na powierzchni zjawisk. W odróżnieniu od reportażysty, dla którego pierwszym celem jest oddanie odczuć, klimatu, kolorytu czy emocji, jako analityk chce niczym osiemnastowieczny anatom sięg-

nać skalpelem pod skórę, zobaczyć mięśnie, ścięgna, kości. Dobrym tego przykładem jest esej *Polska rewolucja*, którą dzieli Smolar na trzy klasyczne nurty: umiarkowanych, radykałów i ludzi *ancien régime*'u, których w specyficznym kontekście postkomunistycznej Polski nazywa „staro-nowymi”. To oczywiście uproszczenie, ale jakże pouczające.

Dwa inne niezbędne elementy uzupełniają tę krótką analizę analiz Aleksandra Smolara. Pierwszy to klarowny, ostry styl, daleki od pompacyjnego mętniactwa większości tekstów naukowych, lecz nigdy nie ześlizgujący się w dziennikarską powierzchowność. Autor nie boi się śmiałych, czasem szokujących tez, ale zawsze wspiera je faktami i argumentami.

Po drugie, jak wszystkie dobre analizy polityczne, i jego opierają się na znajomości historii. Związki między pamięcią i historią – indywidualną i zbiorową – są bowiem drugim ważnym wątkiem jego pisarstwa, również tego tomu. Interesuje Smolara pamięć jako taka, *vide* jego pouczające eseje o Francji. Ale najbardziej interesują go dwie tożsamości zbiorowe, własne by tak rzec prawe i lewe ramię – tożsamości polska i żydowska. Nie byłoby chyba błędem powiedzieć, że oba te ramiona są obolałe, jak u kogoś (autor wie to najlepiej), kto doznał w wypadku bolesnej kontuzji.

Jest fascynujący moment w rozmowie z Jerzym Giedroycem z połowy lat 70., opublikowanej po raz pierwszy w 1986 roku, teraz tu przedrukowanej i do dziś wypełnionej żywymi treściami. Rozważając bolesne zawiłości stosunków polsko-żydowskich, Giedroyc mówi: „Tak, to jest trudna sprawa, która zresztą ogromnie nam szkodzi i bardzo nas zatruwa. No ale, wie pan, to jest straszny naród”. Na to Smolar wtrąca jedno słowo: „Który?” A Giedroyc: „No, Polacy”.

W tym miejscu czuję się w obowiązku, parafrazując sławne słowa Rainera Marii Rilkego (*ein jeder Engel ist schrecklich*, każdy anioł jest straszny), rzec: każdy naród jest straszny. Mówiąc dokładniej, każdy jest straszny na swój sposób. Niemcy, Francja, Anglia, Ameryka – każdy z tych krajów w jakiejś straszności się specjalizuje (Ameryka na przykład w paranoicznym polowaniu na czarownice: w XVII wieku Massachusetts, w latach 50. mccarthyizm, wreszcie po 11 września 2001). Straszna narodowa specyfika pojawia się i wchodzi w fazę ostrą w czasach rosnącego napięcia, wojny, ekonomicznych załamań i w innych sytuacjach wyjątkowych.

Wiele jest pól minowych i krętych ścieżek w relacjach między europejskimi narodami – wystarczy pomyśleć o stosunkach angielsko-irlandzkich,

niemiecko-rosyjskich czy kastylijsko-baskijskich w Hiszpanii. Ale z pełnym przekonaniem stwierdzić mogę, że żadne miny nie są bardziej wybuchowe ani żadne ścieżki bardziej (także emocjonalnie) splątane niż to, co nazywane bywa stosunkami polsko-żydowskimi. *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate!*

Z równym przekonaniem dodam, że nie ma lepszego niż Aleksander Smolar przewodnika po tym labiryncie. Nie omijając żadnych trudności, jasno ukazuje on całą złożoność sytuacji. Jego wczesny esej *Tabu i niewinność* (1986) pozostaje – przy wszystkim, co potem napisano – jedną z najbardziej zniuansowanych i przenikliwych analiz traum lat 30. i 40. W późniejszym, zatytułowanym *Paryski Maj i polski Marzec*, zauważa z nutą rozmyślnej przesady, że absurdem jest mówić o dialogu polsko-żydowskim we współczesnej Polsce, bo nie ma już strony żydowskiej. W rezultacie „Polska prowadzi dialog ze sobą”. Analizując to, co wydarzyło się w Marcu 1968, pisze: „Władze rozpoczęły bowiem »odżydzanie PRL-u« dlatego, że liczyły na popularność, a przynajmniej na bierną przychyłność dla takiej polityki części społeczeństwa”. Jego komentarz liczy cztery słowa: „I nie przeliczyły się”.

Następnie stawia wprost pytanie, nad którym sam nieraz się zastanawiałem: „skąd tylu Żydów, Żydów-Polaków, Polaków żydowskiego pochodzenia, Polaków o żydowskich korzeniach – och, jakie język polski ma z Żydami problemy! – wśród inicjatorów ruchu 1968 roku?” (w tej liczbie, rzecz jasna, on sam). Odpowiada wstępną hipotezą: „Czy więc zaangażowanie w rewolty 1968 roku nie może być interpretowane jako bunt postholokaustowej generacji przeciwko tragicznemu ciężarowi historii pokolenia rodziców?”

Rozszerzyłbym tę argumentację. Jest tezą czysto empiryczną, której zaprzeczyłoby niewielu (jeśli w ogóle) zagranicznych badaczy polskiej historii, że ta niewielka grupa (jakkolwiek dokładnie by ją zdefiniować) odegrała ogromną, nieproporcjonalną do liczebności rolę w bezprecedensowym, rozciągniętym na lata 1968–1989, pokojowym wyzwoleniu Polski, a potem, w następnym dwudziestoleciu, w demokratyzacji i integracji kraju z Europą. Godnym uwagi faktem, jawnie sprzecznym z odruchem kojarzenia Polski z antysemityzmem (ciągle jakże częstym w Ameryce, Francji czy Wielkiej Brytanii) jest to, że przez ledwie dwie dekady niepodległa Polska miała trzech szefów dyplomacji żydowskiego pochodzenia. Czyli więcej przez 20 lat niż Ameryka przez lat 200. Nie ma jednego, prostego wy-

jaśnienia tego wyjątkowego polsko-żydowskiego wkładu w odrodzenie się wolnej Polski. Każdy kroczył nieco inną ścieżką, tylko indywidualne biografie kryją więc przekonującą odpowiedź.

Eseje Smolara na ten temat są chyba najgłębsze w całym zbiorze, należą też do najbardziej osobistych. Ale żaden nie jest głębszy ani bardziej osobisty niż hołd Markowi Edelmanowi – mowa pogrzebowa, trafnie zamykająca ten tom. W tym uczciwym i poruszającym esej autor pyta: „Jak być Polakiem, nie przestając być Żydem?” Píše o „autentycznym żydostwie” Edelmana, od którego sam został „odcięty przez historię, wybory rodziców, i też (...) własne decyzje na rzecz Polski i polskości”.

W tym miejscu, z dystansem insidera–outsidera, chciałbym pokusić się o uwagę, która – jak sądzę – tu pasuje. Wiele czołowych postaci brytyjskiego życia umysłowego i publicznego uznać można według niektórych kryteriów za Żydów. W ściśle określonych kontekstach można ich określić mianem „brytyjskich Żydów”. W większości sytuacji nazwałoby się ich po prostu Brytyjczykami. W obszerniejszych biograficznych opracowaniach byłiby nazwani „żydowsko-brytyjskimi” albo też „brytyjsko-żydowskimi” pisarzami, prawnikami, dziennikarzami, politykami itp. Z wszystkimi stosownymi zastrzeżeniami uznać to chyba wolno za semantyczną oznakę pewnej cywilizowanej normalności. Przez swoje życiowe wybory, osobowość, sposób myślenia, oddanie sprawie polskiej wolności i odwagę intelektualnej klarowności, z jaką patrzy na polsko-żydowską historię, Aleksander Smolar przyczynił się waleśnie do zbliżenia wolnej Polski do owego cywilizowanego stanu.

Jego udział w budowaniu w Polsce nowoczesnej normalności wykracza jednak daleko poza tę szczególną kwestię. Kiedy mówimy o „normalności”, a zwłaszcza „normalizacji”, wskazana jest ostrożność. W XIX i na początku XX wieku Wielka Brytania stawiana była w wielu europejskich krajach (także w Niemczech) za wzór nowoczesnej normalności, jednak Brytyjczycy szczycili się swą wyjątkowością. Mówiąc o „normalizacji” Czechosłowacji po inwazji w sierpniu 1968 roku, Związek Radziecki miał na myśli powrót do komunistycznej normy. Po zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku konserwatywni niemieccy intelektualiści mówili o „normalizacji” kraju. Chodziło im o to, żeby Niemcy jako naród i państwo bardziej przypominały dzisiejszą Francję. Ale czy Francję początku XXI wieku można nazwać normalną? Co do Polski, to, że jest ona krajem suwerennym, niepodległym i samorządnym, że należy do wspólnoty bezpieczeństwa i współpracy

gospodarczo-politycznej na równych prawach ze swymi zachodnimi, północnymi i południowymi sąsiadami, należy historycznie rzecz biorąc uznać za stan z gruntu nienormalny – zupełnie nieznany w jej nowożytnych dziejach.

Jednak w Europie początku XXI stulecia wiemy mniej więcej, co mamy na myśli – nawet jeśli nasze normy były w przeszłości (i mogą, niestety, okazać się w przyszłości) od normalności dalekie. W zakres tej nowoczesnej, europejskiej normalności wchodzi prawno-polityczna suwerenność dobrowolnie delegowana w ramach Unii Europejskiej i NATO. Ale należy do niej też swoista suwerenność psychologiczna i intelektualna w odniesieniu do zarówno przeszłości, jak przyszłości. W pierwszym przypadku oznacza ona stan, który nazwałem *mezoamnezją*. Nie jest to *hiperamnezja* miejsc takich, jak Jugosławia lat 90., z ich obsesyjnym rozpamiętywaniem przeszłości i brakiem jasnej granicy między nią a teraźniejszością. Ale nie jest to też *amnezja* Niemiec lat 50. czy Hiszpanii lat 70. Historia jest znana, ze swymi jasnymi i ciemnymi stronami. Została publicznie udokumentowana i uznana. Ale nie przyprawia o traumatyczną udrękę społeczeństwa ani jego zbiorowej świadomości. Uważam, że dopiero po 1989 roku Polska zyskała szansę wypracowania sobie „normalnego” albo może raczej *zdrowego* podejścia do historii. Nie będąc już jej ofiarą – ostatecznie od 20 lat należy do obozu zwycięzców – winna móc spokojnie uznać zarówno dobro, jak i zło własnej przeszłości.

Suwerenność psychologiczno-intelektualna odnosi się również do przyszłości. W kilku miejscach tego tomu mówi Smolar, że Polacy muszą nauczyć się myśleć o sobie nie tylko „my, Polacy”, ale i „my, Europejczycy”. Polska jako liczący się europejski kraj ma teraz szansę kształtować nie tylko własne losy, ale i losy całego kontynentu, a także Europy w coraz mniej europejskim świecie. (Do wielu publicznych działań Smolara należy udział w gronie zarządzającym Europejską Radą Stosunków Zagranicznych, która zajmuje się budowaniem europejskiej polityki zagranicznej). Polska jest przecież jednym z sześciu największych krajów Unii Europejskiej i jedynym regionalnym mocarstwem w jej wschodniej połowie. Kiedy Polacy mówią „Zachód”, nadal często myślą, że jest on gdzie indziej. Dziś Polska jest częścią Zachodu – albo tego, co z niego w sensie geopolitycznym zostało w coraz bardziej post-zachodnim świecie. Zachód to my.

Jako pisarz i komentator, jako analityk polskiej polityki szanowany przez polskich polityków z lewicy i prawicy, a także przez czytelników z całego

świata, wreszcie jako prezes Fundacji im. Stefana Batorego, odgrywającej w Polsce doniosłą rolę jako forum cywilizowanej debaty o polityce i sprawach publicznych, Aleksander Smolar przyczynił się jak mało kto do powstania nowoczesnej, europejskiej Polski suwerennej psychologicznie i politycznie w relacjach ze Wschodem i Zachodem, z przeszłością i przyszłością. O tym świadczy ten wybór esejów, szkiców i wywiadów z ostatnich 30 lat.

Oksford, luty 2010

Przełożył Sergiusz Kowalski

Jechełem w pustkę, wracałem z radością

Andrzej W. Pawluczuk: *Proszę przypomnieć czytelnikom „Tygla Kultury”, w jakich okolicznościach udawał się Pan na emigrację.*

Aleksander Smolar: Wyjechałem w lutym 1971 roku, można powiedzieć, że była to opóźniona emigracja marcowa. Wyrzucono mnie z Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie byłem asystentem. Po rocznym pobycie w więzieniu miałem się różnych zajęć, gdyż nie miałem możliwości kontynuowania pracy akademickiej. Zdecydowałem się więc na emigrację.

Pojechałem najpierw do Włoch; przez pierwszy rok byłem na amerykańskiej uczelni w Bolonii, Johns Hopkins University (szkoła stosunków międzynarodowych), a później szukałem pracy w pięciu różnych krajach, nie wiedząc, gdzie będę ostatecznie mieszkać. Potem dostałem pracę w Paryżu, w Krajowym Centrum Badań Naukowych (CNRS), co w polskich kategoriach byłoby odpowiednikiem akademii nauk.

Powiedział Pan, że była to spóźniona emigracja marcowa. Czy to znaczy, że nie czuł Pan wcześniej presji, nie zmuszano Pana do wyjazdu?

Nikt mnie do wyjazdu nie zmuszał, to była decyzja, z którą zmagalem się długo, a która została podjęta z opóźnieniem ze względu na ogólną sytuację, w której się znalazłem.

Jaka to była sytuacja?

Osobista, zawodowa, poczucie marginalizacji zarówno w sferze osobistej, jak i zawodowej.

Z jakim nastawieniem wyjeżdżał Pan z Polski?

Przed wszystkim z dużą dozą niepewności. Zawsze, poza pracą akademicką, były dla mnie ważne sprawy publiczne. Od wielu lat byłem zaangażowany w ówczesną, skromną działalność opozycyjną – to był dla mnie istotny wymiar, ale emigrując, nie wiedziałem, jaki będę mógł wybrać model życia. Niczego nie byłem pewien, gdyż wyjeżdżając, nie miałem niczego załatwionego, a przede wszystkim – pracy. Jechałem w kompletną pustkę. Nie wiedziałem także, jakie tam, za granicą, będą możliwości działania na rzecz Polski. Innymi słowy, mając wtedy lat prawie trzydzieści, jechałem w świat, nie mając żadnych punktów orientacyjnych. Ale bardzo szybko, bo zaledwie pół roku później z rodziną, która mieszkała w Szwecji, i wraz z grobem przyjaciół podjęliśmy decyzję o wydawaniu pisma.

To był kwartalnik „Aneks”?

Tak, „Aneks”, który ukazywał się przez siedemnaście lat, od 1973 roku.

Jak Europa przyjmowała w tamtym czasie polską emigrację?

Polska emigracja nie była wówczas masowym zjawiskiem. Oczywiście to wszystko, co wydarzyło się w Polsce w związku z tak zwanym Marcem, wywołało duży rezonans, toteż ci, którzy wyjeżdżali w 1968 i 1969 roku, spotykali się z daleko idącą pomocą. Ja wyjeżdżałem już w innym okresie i moim priorytetem było kontynuowanie pracy akademickiej, czego nie mogłem robić w Polsce. Toteż w moim przypadku nie odgrywało roli, jakie było ogólne nastawienie do emigracji, ale istotna była decyzja konkretnej uczelni: czy mnie chcą, czy nie. Przez rok byłem na uniwersytecie w Bolonii, ale na bardzo specyficznych warunkach. W zasadzie przyjęto mnie tam jako studenta, a ja przecież byłem już po studiach, a na Uniwersytecie Warszawskim pracowałem jako asystent. Ale chodziło o to, by dać mi szansę przeżycia roku za bardzo skromne stypendium, które wynosiło 100 dolarów miesięcznie. A kiedy ten rok dobiegł końca, złożyłem podania do uczelni w pięciu różnych państwach. Jak Pan więc widzi, nie można mówić o żadnych ogólnych regułach, dotyczących przyjmowania emigrantów.

Ale traktowano Was chyba jednoznacznie jako wychodźstwo polityczne?

Byliśmy postrzegani jako ofiary różnego rodzaju dyskryminacji, jako uchodźcy z kraju niedemokratycznego. Zdarzyło się nawet raz, że mój sta-

tus uchodźcy z Europy komunistycznej pomógł mi w staraniach o pracę. Kiedy ubiegałem się o stałe zatrudnienie w Krajowym Centrum Badań Naukowych w Paryżu, były tylko dwa wolne miejsca, a kandydatów, jak co roku, kilkudziesięciu. Wygrałem dzięki pewnego rodzaju kontraktowi, który został zawarty w komisji naukowej CNRS pomiędzy lewicą a prawicą. Otóż akurat napłynęła w tym czasie, po obaleniu prezydenta Allende, duża emigracja z Chile – oczywiście – lewicowa. Prawica zgodziła się na przyjęcie Chilijczyka pod warunkiem, że lewica zgodzi się, by przyjęto mnie – emigranta z Polski. Nie bez znaczenia było też poparcie Raymonda Arona, który mnie – mogę tak powiedzieć – przygarnął od pierwszych dni mojego pobytu we Francji. I to był jedyny przypadek, kiedy skorzystałem ze statusu uchodźcy politycznego.

A jakie było samopoczucie polskich emigrantów? Czy można mówić, że mniej lub bardziej świadomie nawiązywaliście do tradycji Wielkiej Emigracji?

Myślę, że ostatnim pokoleniem, które miało takie poczucie, była emigracja wojenna, która utrzymała instytucje niepodległej Rzeczypospolitej; miała ona silne poczucie legitymacji narodowej. Żywa była w niej tradycja romantyczna i bezpośrednie odwoływanie się do doświadczeń Wielkiej Emigracji.

Później wyjazdy z Polski były już – powiedzmy – wąskim strumyczkiem, nie było masowego zjawiska uchodźstwa, które daje legitymację do reprezentowania kraju. Natomiast w naszym przypadku jakiekolwiek aspirowanie do tworzenia za granicą polskiego Piemontu byłoby dowodem megalomanii i wyglądałoby śmiesznie. Mielśmy oczywiście poczucie, że to, co robimy na obczyźnie, powinno służyć krajowi, ale bez megalomańskich aspiracji. Na ten temat wiodłem spór z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Środowisko „Kultury” uznało, że po 13 grudnia 1981 roku punkt ciężkości polskiego życia narodowego znowu przenosi się na emigrację. Była to fałszywa diagnoza, ale rozumiałem, że pokolenie Herlinga-Grudzińskiego mogło tak myśleć.

Nie było przypadkiem, że nasze pismo nazwaliśmy „Aneks”, co jednocześnie było skromnym programem. Nasza działalność była pomyślana właśnie jako aneks, dodatek, uzupełnienie niezależnych działań podejmowanych w Polsce.

A oczywiste było dla Was, że należy od razu przystąpić do pracy na rzecz kraju? To jest wszak tradycja każdego pokolenia polskiej emigracji politycznej.

Tak, oczywiście, ale z poczuciem dużej skromności i z uważnym wsłuchiwaniem się w głos środowisk i grup aktywnych intelektualnie i politycznie w Polsce. My przecież, a mówię o nielicznym środowisku skupionym wokół kwartalnika „Aneks”, nie forsowaliśmy żadnego konkretnego programu politycznego, nie narzucaliśmy żadnej idei. Chcieliśmy raczej dostarczać stawy duchowej, stąd publikowaliśmy analizy polityczne „z różnych stron”. Mieliśmy bowiem poczucie, że nie mamy żadnej odpowiedzi na polskie problemy. Szukaliśmy, a nie przekonywaliśmy. Był to więc bardziej rodzaj pośrednictwa między tym, co dzieje się na Zachodzie, a Polakami w kraju i na emigracji. Dzięki temu, że wrastaliśmy w tamtejsze środowiska naukowe i opiniotwórcze, angażowaliśmy do występowania w polskich sprawach, dla obrony środowisk opozycyjnych wielu wybitnych ludzi Zachodu. Mieliśmy także bardzo rozbudowane kontakty z prasą zagraniczną, radiem, telewizją. Nie zdarzyło mi się, na przykład, aby „Le Monde” odmówił opublikowania wiadomości bądź artykułu, który uznawałem za ważny. Stosunki były dobre i było zaufanie do tego, co im przynosiłem. Tak więc te nasze związki intelektualne z tamtejszymi środowiskami dawały dwie rzeczy: mieliśmy dostęp do wpływowych ludzi, a ponadto byliśmy niezależni materialnie. Nie żyliśmy i nie musieliśmy żyć z działania dla Polski, a zresztą takich pieniędzy wtedy nie było.

Czy z tamtej, zagranicznej perspektywy, istnienie i działalność emigracji miały jakieś znaczenie dla sytuacji w kraju?

Myszę, że miały, chociaż było to znaczenie ograniczone. Po pierwsze, istotne dla Polaków w kraju było, że w ogóle istniało niezależne słowo, niekontrolowane przez peerelowską władzę. Później, w latach 80., kiedy w Polsce rozwija się żywiołowo niezależny ruch wydawniczy, to znaczenie pism emigracyjnych gwałtownie spada. Po drugie – istotną rzeczą było informowanie kraju o tym, co w samej Polsce się dzieje; integrowało to rozproszone grupy opozycyjne. Za naszym pośrednictwem radio Wolna Europa informowało ludzi w Mławie czy Koninie o działalności opozycyjnej w innych miastach. To sprawiało, że ci ludzie nie czuli się samotni, w swoim oporze widzieli sens, grupowali się wokół wspólnej idei. W sytuacji, kiedy władza blokowała kanały przepływu informacji, było to niesłychanie ważne.

A po trzecie – dzięki naszym kontaktom mogliśmy wpływać na międzynarodową opinię publiczną. Udawało nam się nawet mobilizować intelektualne środowiska na Zachodzie, inspirować listy z protestami podpisane przez znane osobistości polityki, nauki i kultury. Ta forma zużyła się ostatnimi laty, ale wówczas, w latach 70. i 80. miała jeszcze swoje znaczenie i taki list bardzo denerwował ówczesną władzę w Peerelu.

Mieliśmy także bardzo dobre kontakty polityczne z wieloma partiami demokratycznymi na Zachodzie. Toteż jeżeli zaistniała potrzeba, można było łatwo uzyskać spotkanie z najwybitniejszymi politykami w tych krajach i przedstawić im nasz punkt widzenia. W ten sposób poznałem na przykład Mitterranda, który później został prezydentem Francji.

Czy tej znajomości spraw Polski przez Mitterranda generał Jaruzelski „zawdzięczał” bardzo chłodne przyjęcie w Paryżu w 1985 roku? Może warto przypomnieć tamte wydarzenia, gdyż były one tematem wielu dowcipów. Otóż Jaruzelski wracał wtedy z oficjalnej wizyty w Libii, gdzie – ma się rozumieć – przyjmowany był z pełnymi honorami. W drodze powrotnej do Polski koniecznie chciał złożyć wizytę prezydentowi Francji. Nie było jednak żadnego oficjalnego, z honorami powitania. Francuzi potraktowali jego przyjazd jako wizytę prywatną, Mitterrand przyjął go wprawdzie, ale Jaruzelski wszedł do Pałacu Elizejskiego nie głównym wejściem, ale – jak mawiali paryżanie – kuchennym, czyli wejściem dla służby. Mitterrand musiał też później wysłuchać wiele krytycznych uwag ze strony intelektualistów i polityków. Nawet premier Fabius miał mu za złe, że przyjął generała.

Nie przeceniałbym roli polskiej emigracji, chociaż nasze kontakty z francuskimi politykami były żywe i przyjazne. Poza Mitterrandem kontaktowałem się także z późniejszym premierem Francji Lionelem Jospin i dzisiejszą czołówką tamtejszego życia politycznego.

Aż tak poważnie traktowano nad Sekwaną polskich uchodźców?

Nie w tym rzecz. W kraju demokratycznym, jeśli ktoś bardzo chce spotkać się z przywódcą dużej partii, to w końcu zostanie przyjęty. A po drugie – kiedy ma się pewne kontakty, ma się wpływowych przyjaciół, to zawsze można ich poprosić o ułatwienie kontaktu.

Znałem bardzo wybitnych naukowców francuskich, a skoro mieli do mnie zaufanie, wówczas ułatwienie mi kontaktu z wpływowym politykiem

było dla nich kwestią jednego telefonu. Nie znaczy to oczywiście, że za każdym razem wynikały z takich spotkań konkretne skutki. Najważniejsze było jednak, że do takich spotkań dochodziło i mogłem wyjaśnić nasz punkt widzenia; także w Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii, Anglii, krajach skandynawskich i we Włoszech polska emigracja miała dobre i żywe kontakty z tamtejszymi przywódcami politycznymi. Trochę gorzej było z tym w Niemczech.

Po czwarte wreszcie – nasza rola polegała także na organizowaniu pomocy materialnej dla osób prześladowanych w Polsce. Zanim ruszyła duża pomoc ze strony tamtejszych związków zawodowych, to w latach 70. my w dużym stopniu zbieraliśmy pieniądze i przekazywaliśmy do kraju, na pomoc dla KOR-u i osób represjonowanych przez reżim.

Nikt jeszcze wtedy nie wierzył w rychły upadek komunizmu, rozpad ZSRR i wybicie się Polski na niepodległość. Czy nie rzutowało to na Pana zaangażowanie w sprawy kraju?

Nie, chociaż przyznam, że nie wyobrażałem sobie wtedy powrotu do Polski. Tak więc, poświęcając masę czasu sprawom polskim, często kosztem pracy akademickiej, nie miałem w sobie takiego optymizmu, jak emigracja wojenna. Oni wierzyli, że za parę lat będzie kolejna wojna i wrócą do wolnej Polski. Spośród nas nikt sobie nie wyobrażał, że zmiany nadejdą tak błyskawicznie. Ówczesny świat i układ polityczny wydawał się stabilny na wiele dziesięcioleci. Nawet jeżeli ktoś wierzył, że komunizm musi się zawalić, to jednak nikt nie umiał powiedzieć, kiedy to nastąpi.

Musielście jednak mieć poczucie sensu swojej pracy?

Tak, oczywiście, ale to poczucie sensu nie było związane z jakimiś odległymi, maksymalnymi celami. Ten sens widzieliśmy raczej w samym tworzeniu wysp wolności w Polsce, czy choćby pomocy ludziom, z którymi byliśmy w Polsce zaprzyjaźnieni. Było to nie tylko poczucie obowiązku wobec zasadniczych wartości, ale i wobec konkretnych ludzi, którzy byli prześladowani. Była to z naszej strony już nie polityka, ale zwykła przyzwoitość.

A czy pamięta Pan, w którym roku zaczęło się myśleć i mówić, że lata panowania komunizmu są już policzone?

Zawsze byli ludzie, którzy to przepowiadali. Na przykład Amalrik, który postawił pytanie, czy Związek Radziecki przetrwa rok 1984, niewiele się

pomylił. Emmanuel Todd, młody i błyskotliwy historyk francuski, napisał w latach 70. książkę *La chute finale*¹, czyli „Ostateczny upadek”, gdzie bardzo realistycznie, jak się później okazało, opisał rozpad Związku Radzieckiego. Ale te książki nie odzwierciedlały powszechnego sposobu myślenia o przyszłości ZSRR. Tak naprawdę zaczęto dostrzegać szansę upadku komunizmu niemal w ostatniej chwili.

Wrócił Pan do kraju w 1989?

Tak naprawdę, to trochę później, w 1990.

Jak Pan po tylu latach znalazł Polskę?

Pierwszy raz od wyjazdu byłem w Polsce w 1987 roku, dostałem wizę specjalną i przyjechałem na pogrzeb. To był dla mnie szok, coś niewiarygodnego. Wracałem po szesnastu latach i odnosiłem wrażenie, że nic, kompletnie nic się nie zmieniło. Znajdywałem te same dziury w tych samych miejscach, te same zepsute neony i rozwalone płoty, te same puste wystawy i zakurzone szyby, słowem, nadal trwała niewzruszona ta sama brzydota świata materialnego. Nawet po zapachu poznawało się wschodnią Europę, gdyż benzyna pachniała tu zupełnie inaczej niż na Zachodzie, gdzie właściwie się jej nie czuje. Z zamkniętymi oczami można było rozpoznać, gdzie się przekraczało granicę dwóch systemów. Po szesnastu latach znalazłem się dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyjechałem. To było niesamowite i przygnębiające uczucie. Kiedy przyjechałem już w 1990 roku, było zupełnie inaczej. Widać było ogromny pęd do zmian.

A czy dostrzegł Pan zmiany w ludziach?

Przyznam się, że na początku miałem wątpliwości co do przebiegu przemian w Polsce, nie sądziłem, że będą tak szybkie i gruntowne, że w ludziach będzie tyle energii. Przecież społeczeństwo zostało tak straszliwie przeora-
ne przez okupację, wojnę, zmianę granic, później doświadczone koszmar-
nymi latami stalinizmu i późniejszym socjalizmem. Toteż obawiałem się,
że w Polakach będzie znacznie mniej dynamizmu niż w Czechach czy Wę-
grach. A okazało się, że jest całkowicie przeciwnie.

¹ Emmanuel Todd, *La chute finale*, Robert Laffont, Paris 1976.

Nadal pozostaje dla mnie nieodgadnioną tajemnicą, jak nasze społeczeństwo, pozbawione klas wyższych, średnich, właściwie chłopskie społeczeństwo z tradycjonalizmem, konserwatyzmem kulturowym, znalazło w sobie tę brutalną dynamikę, która jest źródłem rozwoju ostatnich dziesięciu lat. Jest to dla mnie czymś fascynującym.

Po powrocie objął Pan od razu ważne stanowisko rządowe jako doradca premiera Mazowieckiego, a potem szef zespołu doradców. Proszę powiedzieć, czy była to trudna praca? Czy często Pański punkt widzenia nie był rozumiany i brany pod uwagę?

Miałem wyczuć granic własnej kompetencji. To znaczy tam, gdzie widziałem, że moja kilkunastoletnia nieobecność w kraju może być przeszkodą w rozumieniu złożonych problemów, byłem bardzo ostrożny w formułowaniu sądów. Natomiast w sprawach, na przykład, polityki zagranicznej moje doświadczenie emigracyjne było bardzo przydatne.

Wracał Pan z radością do Polski?

Absolutnie tak! Po pierwsze – przyjeżdżałem do kraju wolnego, suwerennego, a więc innego niż ten, z jakiego wyjeżdżałem. Ale w sensie głębszym wracałem jednak do tej samej Polski. Było to uczucie znalezienia się na powrót u siebie. Czuję się w Paryżu znakomicie, wrosłem w tamtejsze życie, środowisko, klimat społeczny i intelektualny, współpracuję nadal z redakcjami kilku czasopism, podtrzymuję związki z niektórymi partiami politycznymi, ale po pięciu minutach w Polsce rozumiałem znowu każdy kod kulturowy, każdą reakcję. Więc to było wspaniałe, że tak długa, kilkunastoletnia nieobecność przestaje istnieć w ciągu paru minut.

Bardzo cenny jest ten Pański optymizm i wiara w Polskę i Polaków. Ale na przykład Jerzy Giedroyc, którego przecież zasługi dla Polski są niepodważalne, nie chce przyjechać do kraju, a niedawno, w wywiadzie dla „Wprost” powiedział wręcz, że „społeczeństwo polskie jest zdziczałe”.

Ja nie miałbym odwagi tak powiedzieć, tak uogólniać. Ale przecież ostatnie zajścia z młodzieżą w Słupsku i Katowicach dowodzą, że dzieje się nie-dobrze. Jest to ogromny problem kulturowy i nie wiadomo, jak go rozwiązać. Rozumiem, że to skutek bardzo wielu zjawisk i tego, co działo się w Polsce przez poprzednie dziesięciolecia, ba – to są nawet skutki czasów wojny, wielkich migracji, rozbijania więzi społecznych, a także skutki prze-

mian ostatnich lat, gdzie było wiele strasliwych dramatów ludzkich. Weźmy chociażby ogromny szok bezrobocia dla kilku pokoleń, które w ogóle nie miało o bezrobociu pojęcia, czy wreszcie – wystawną, ostentacyjną konsumpcję niektórych grup, która drażni młodych ludzi, zwłaszcza tych, co nie widzą przed sobą żadnych szans i perspektyw na lepsze życie. Można więc powiedzieć, że istnieją dostrzegalne elementy zdżyczenia społecznego, jest to w tej chwili największy problem w Polsce, ale to samo – pamiętajmy – występuje też na Zachodzie, częstokroć w skali nie mniejszej niż u nas. Tak że jeżeli oceniamy przemiany po 1989 roku, to uważam, że Polska przechodzi ten okres w sposób cywilizowany.

Nie zmarnowaliśmy tych dziesięciu lat?

Wręcz przeciwnie! Oczywiście można, jak właśnie Jerzy Giedroyc, stawiać poprzeczkę jeszcze wyżej, a nawet jest ważne, by ludzie z dużym autorytetem stawiali wyższe wymagania. Ja jednak, ze swojej pozycji obserwatora i analityka rzeczywistości, widzę mnóstwo rzeczy wspaniałych, pozytywnych, które zostały zrobione po 1989 roku.

Jak Pan dzisiaj ocenia swoje doświadczenia emigracyjne?

Z punktu widzenia egzystencjalnego emigracja jest przeżyciem niepowtarzalnym. To doświadczenie ma oczywiście różne wymiary. Jeden rok we Włoszech, rok w Stanach Zjednoczonych, prawie rok w Anglii i długi pobyt we Francji dały mi doświadczenia, które bardzo człowieka wzbogacają.

Poza tym istotne było doświadczenie kulturowe, poznanie innych światów, a to znowu dawało możliwość spojrzenia na swój kraj z innej, odmiennej perspektywy. Często przeżywałem też ból nieobecności, ale to jest uczucie, o którym nie umiem opowiadać.

Czy na koniec tej rozmowy da się Pan skusić na przepowiednię co do przyszłości Europy? Co nas czeka w najbliższym czasie? Będziemy mieli dłuższy okres spokoju i pokoju?

Myślę, że tak. Po raz pierwszy od setek lat Polska znalazła się w bezpiecznej przystani, co naturalnie nie znaczy, że nie będzie problemów. Ogromna niepewność wiąże się z rozwojem wydarzeń na Wschodzie. Już w marcu będą wybory na Ukrainie, a ich wynik, którego nikt dzisiaj nie zna, może zmienić nie tylko sytuację w tym wielkim kraju, ale może też rzutować na atmosferę w Polsce. Nie sądzę, aby coś nam z tamtej strony zagrażało, ale

może pojawić się u nas element niepokoju i pewnej destabilizacji. Dalej – nie wiadomo, co będzie z Rosją, a jest to kraj, który jeszcze przez dziesiątki lat będzie przeżywał wstrząsy i z trudem dostosowywał się do nowoczesności, co także będzie wpływało na sytuację w Polsce.

Natomiast Polska będzie integrowała się z Europą i wspólnotą euroatlantycką, chociaż zapewne nie tak szybko, jak to powiada się w różnych oficjalnych deklaracjach.

Dziękuję za rozmowę.

Polska rewolucja

KOR

Zapada zmierzch. W stosunkowo dużym mieszkaniu Edwarda Lipińskiego odbywa się zebranie Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Większości członków udało się dotrzeć na miejsce. Milicja wyjątkowo nie interweniuje. Tylko na schodach kilku tajniaków spisuje przybywających. Inni kręcą się po okolicznych ulicach.

Około trzydziestu osób rozmawia o represjach w różnych regionach Polski, aresztowaniach, pobiciach, zwolnieniach z pracy. O najnowszych wyczynach cenzury, o jakiejś nadchodzącej rocznicy, która pozwoli przypomnieć historyczne tradycje narodu. Dyskutują o nowej, niesprawiedliwej ustawie dotyczącej emerytur dla chłopów, o warunkach pracy górników. Komitet redakcyjny odczytuje najnowsze oświadczenia, apele i analizy KOR-u. Zebranie trwa wiele godzin.

Uczestnicy zachowują się jak wolni ludzie. „Wolni ludzie w wolnym kraju”, mówi ironicznie Adam Michnik. Jakby nie groziło im na każdym kroku aresztowanie czy prześladowania, pobicie w korytarzach sądowych, w trakcie wykładu dla Uniwersytetu Latającego albo po prostu w ciemnej ulicy. Człowiek się szybko przyzwyczaja do oddychania wolnym powietrzem, nawet jeżeli towarzyszy mu ustawiczne ryzyko. Także miliony Polaków przyzwyczaiły się, że żyją wśród nich wolni ludzie. Śledzą ich działalność, protesty, apele i inicjatywy społeczne w krzepnącej prasie podziemnej, w wiadomościach zagranicznych radiostacji i nawet w oficjalnej propagandzie.

Równie zdumiewająca jak wolność, z jaką postępują, jest różnorodność obecnych. Gospodarz, senior KOR-u, ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Tuż za nim na skali wieku plasuje się kilka innych postaci: ksiądz Zieja, Antoni Pajdak, Adam Szczypiorski. Na przeciwnym krańcu trzydziestolatki:

Andrzej Celiński, Piotr Naimski czy Konrad Bieliński, którzy w dorosłe życie weszli w latach 70.

Ludzie ci wykonują różne zawody, pochodzą z różnych sfer społecznych. Jedni, jak gospodarz, profesor ekonomii, albo Jan Kielanowski, biolog, są szeroko znani w Polsce i za granicą. Obaj są członkami Polskiej Akademii Nauk i doktorami *honoris causa* licznych zagranicznych placówek naukowych. Obok nich wielka aktorka, Halina Mikołajska, laureatka Nagrody Państwowej, i pisarz Jerzy Andrzejewski. Są poeci: Stanisław Barańczak, Jerzy Ficowski, Anka Kowalska. Ludzie znani z działalności społecznej przed wojną, w czasie wojny i po niej. Ksiądz Zieja był kapłanem wojskowym podczas wojny 1920 roku przeciwko bolszewikom, potem w 1939 roku i w czasie Powstania Warszawskiego. Antoni Pajdak i Józef Rybicki to sztandarowe postacie ruchu oporu. Aniela Steinsbergowa, adwokatka, broniła w niezliczonych procesach politycznych przed wojną i po wojnie. Jan Józef Lipski jest pracownikiem Akademii Nauk, byłym powstańcem warszawskim 1944 roku, prezesem Klubu Krzywego Koła po 1956 roku. Odegrał w tamtym okresie względnej liberalizacji ogromną rolę.

Liczniejsi są młodzi. Wyróżniają się nie tylko wiekiem, ale i statusem społecznym. Zaangażowali się w działalność opozycyjną po 1968 roku, większość z nich utraciła wszelkie możliwości pracy i normalnej kariery. Zarabiają na życie jako malarze pokojowi, piszą pod pseudonimami. Wśród nich wybija się Jacek Kuroń, wielka postać opozycji, sześć lat więzienia w latach sześćdziesiątych. Obok niego Mirosław Chojecki, twórca Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa. Nieco dalej Adam Michnik, jeden z trzech Polaków najczęściej wymienianych w prasie międzynarodowej, jeśli wierzyć sondażom polskiej prasy. Bogdan Borusewicz, którego już w wieku licealnym poszukiwała milicja, człowiek wyjątkowo odważny i pomysłowy; stanie się później jedną z kluczowych postaci strajku w Stoczni Gdańskiej. Jest też Andrzej Celiński, sekretarz Uniwersytetu Łatającego, przezywany Jego Magnificencją. Są Henryk Wujec i Jan Lityński, redaktorzy „Robotnika”, pisma, którego rolę w rozwoju polskiego ruchu robotniczego trudno przecenić. Jacyż to różni ludzie! Edward Lipiński, socjalista od 1905 roku, nadal uważa się za marksistę. Właśnie wyrzucono go z partii. Antoni Pajdak, stary przywódca socjalistów, przedstawiciel Rządu Londyńskiego w czasie wojny, uprowadzony następnie przez KGB i skazany w procesie moskiewskim na długie lata więzienia. Inny stary socjał, Ludwik Cohn, skazany został w Polsce, kiedy zawiodły wszystkie próby pozyskania go dla nowej władzy. Ksiądz Zieja

z kolei skazany został po protestach przeciwko aresztowaniu prymasa Wyszyńskiego w 1953 roku. Większość Episkopatu wtedy milczała. On nie. Jerzy Andrzejewski, przedwojenny pisarz katolicki, związał się w młodości na krótko ze skrajnie prawicowym pismem; po wojnie wstąpił do partii. Jego książka *Popiół i diament*, podobnie jak film, który na jej podstawie nakręcił Andrzej Wajda, nie podważały jeszcze legitymacji nowej władzy. Po 1956 roku Andrzejewski wystąpił z partii i odważnie przyłączył się do niezależnej opozycji. Jako jeden z nielicznych Polaków zaprotestował przeciwko inwazji na Czechosłowację w 1968 roku. Anka Kowalska, poetka, pracowała najpierw w katolickim PAX-ie, organizacji kierowanej przez przedwojennych faszystów. Wystąpiła z niej po 68 roku, oburzona antysemicką i antyinteligentką kampanią, do której PAX przyłączył się z entuzjazmem. Znajdziemy jednak wśród korowców i inne drogi życiowe: poeta Stanisław Barańczak wstąpił do partii w 68 roku, by natychmiast z niej wystąpić. Jest jedną z wielkich postaci swego pokolenia, kariera stoi przed nim otworem. Wybiera niebyt, KOR i podziemne pisemka. Józef Rybicki nigdy nie splamił się współpracą z reżymem. Kiedy w 1968 roku przedstawiciele władz w poszukiwaniu alibi dla zrównoważenia kampanii antysemickiej zwrócili się do niego, aby złożył świadectwo o ratowaniu Żydów w czasie wojny (w którym sam brał udział), odparł z pogardą: „Nie myślę, aby moje świadectwo mogło panom posłużyć, sam jestem Żydem” (którym nie był). Jacek Kuroń, niegdyś młody zapalony komunista, potem zapalony rewizjonista, herold antybiurokratycznej rewolucji robotniczej, stał się w latach 70. ideologiem i głównym praktykiem samoorganizacji społeczeństwa. Są też przedstawiciele Klubu Inteligencji Katolickiej Henryk Wujec i Maria Wosiak; były harcerz Antoni Macierewicz, silna osobowość, zaangażowany w ruchu studenckim 68 roku; dopiero co wyrósł z klasycznej fazy młodzieńczej lewicowości i zafascynowania Che Guevarą. Jeszcze w 1972 roku, kiedy trwała wojna w Wietnamie, próbował zorganizować protest przeciwko wizycie Nixona w Warszawie. Obecnie jego myśl polityczna skupia się na niepodległości Polski.

Historia w skrócie

Obiegowy obraz dziejów KOR-u i prehistorii Solidarności, powielany przez tysiące artykułów prasowych i ekranizacje Wajdy w *Człowieku z żelaza*, wygląda w skrócie następująco: w marcu 1968 Polskę wstrząsnął bunt studen-

tów, którzy powstałi przeciwko cenzurze, zniewoleniu kultury i bezprawiu. Ruch ten został zdławiony falą aresztowań, masowymi rugami z uniwersytetów i pracy i kampanią antysemicką oraz antyinteligencją. Reszta społeczeństwa, z klasą robotniczą włącznie, przyglądała się bezczynnie manifestacjom i represjom.

W grudniu 1970 nadeszła kolej robotników. Po drastycznej podwyżce cen Wybrzeże stanęło do walki. Gdańscy, szczecińscy i gdyńscy stoczniovcy ogłosili strajk i wyszli na ulice. Komitety partyjne stanęły w ogniu, padły ofiary. Reszta społeczeństwa, z inteligencją włącznie, przyglądała się bezczynnie tragedii.

Czerwiec 1976: kolejna podwyżka cen, kolejna rewolta robotnicza. Strajki obejmują całą Polskę. Radomski komitet partyjny staje w ogniu. Chwilę później płoną komitety w Ursusie i Płocku. Władza ustępuje, ale się mści. Tysiące robotników idą na bruk, setki lądują w więzieniach, gdzie będą bici, torturowani. Wyroki sięgają dziesięciu lat. Tym razem jednak nie są pozostawieni sami sobie. Od pierwszej chwili inteligenci podnoszą głos w ich obronie. Protestują, apelują do wspólnoty międzynarodowej. Młodzież bez żadnej bazy i inspiracji organizacyjnej spontanicznie rusza z pomocą prześladowanym. We wrześniu 1976 powstaje Komitet Obrony Robotników. Rodzi się ruch solidarności, który błyskawicznie odnosi ogromny sukces: w 1977 wszyscy skazani są już na wolności. KOR przekształca się w Komitet Samopomocy Społecznej „KOR” – KSS „KOR” – i stawia sobie szersze zadania. Nie ogranicza się już do pomocy prześladowanym, chce współdziałać przy samoorganizacji społeczeństwa. W tym celu musi pogłębić związki ze środowiskami robotniczymi. Rewindykacje i formy działania będą opracowywane wspólnie. Tu, między innymi, znajdujemy zarodki Solidarności.

Ten skrócony wykład historii nie jest fałszywy, więcej jednak stawia pytań, niż udziela odpowiedzi. Na gest solidarności intelektualisci mogli teoretycznie zdobyć się i w innych chwilach polskiej historii. Także skład grupy, która ruszyła do działania, i okoliczności, które pozwoliły na zebranie pod jednym sztandarem tak różnorodnej gromady, wymagają zastanowienia. Przede wszystkim jednak należy zapytać, w jaki sposób ich akcja mogła wydać owoce, jakich nikt się nie spodziewał.

Nielatwo wydestylować z powojennej historii Polski to, co najważniejsze dla zrozumienia lat poprzedzających Solidarność. Tyle rzeczy wydaje się ważnych.

Lata tuż powojenne. Miliony ofiar, Polaków i Żydów. Miliony przymusowych repatriantów, wygnańców z terenów zajętych przez Związek Sowiecki osiedlonych na dawnych terenach niemieckich, które alianci przyznali Polsce.

Długa wojna domowa przeciwko narzuconej przez Związek Sowiecki władzy. Terror i równoległe do niego odbudowa, barbarzyńskie uprzemysłowienie, którego cenę Polska płaci do dziś. A jednak ten batem wykrzesany wysiłek otwierał perspektywę modernizacji kraju. Setki tysięcy chłopskich i robotniczych dzieci z zapalem pięło się po drabinie społecznej, utożsamiając własny awans z awansem kraju. Zdumiewająca mieszanina, w której barbarzyńska przemoc pozbawiła naród samodzielnego bytu, oferując mu zarazem coś cennego i pociągającego, co kazało zapytywać się, czy obrona droga nie jest przypadkiem właściwa.

Zgłajszachtowany przez operacje, dokonywane na jego ciele przez aroganckich akuszerów historii, naród był pobity, rozdierany głębokimi konfliktami między wierzącymi i niewierzącymi, partyjnymi i bezpartyjnymi, zwolennikami i wrogami nowego ustroju. Linie podziału przebiegały czasami wewnątrz jednego i tego samego człowieka.

Z czasem, powoli, sytuacja się zmieniała. Naród wracał do zdrowia. Goiły się rany, zadane wojną i powojennym terrorem. W publicznej przestrzeni pojawiło się nowe pokolenie. Reżym tracił swój apokaliptyczny czar. Zło spowszedniało i straciło siłę przyciągania. Codzienne absurdy, materialna i duchowa jałowość ustroju kłuły w oczy. Władza przybrała postać pasożyta, pozbawionego wszelkiej użyteczności społecznej.

Inteligencja dzieliła doświadczenia całego narodu, jego przerażenie i fascynacje, akcesy i wahania. Z tą tylko różnicą, że wydawała się przeżywać je ostrzej. W tej zbiorowości wyraźniej widać fazę choroby i symptomy zdrowienia: być może dlatego, że z natury swych zawodów intelektualiści rejestrują wahania duszy i umysłu. Jednak z okowów strachu wyzwalało się powoli całe społeczeństwo – odbudowywało więzi społeczne, przechodziło do porządku dziennego nad dawnymi podziałami, które niekiedy ciążyły jeszcze mocno nad świadomością społeczną.

W ten brutalnie zwięzły opis należy oczywiście wpisać konwulsje społeczne i konflikty, które społeczeństwo i kolejne ekipy władzy musiały rozwiązywać. W Polsce było ich znacznie więcej aniżeli w innych krajach komunistycznych: 1956, 1968, 1970, 1976, 1980.

Lata 70. stanowią okres przyspieszonej integracji społeczeństwa i coraz bardziej oczywistej bezsilności władzy. Na takim tle należy uplasować

KOR, jeżeli chce się zrozumieć jego rolę w ostatnim dziesięcioleciu. Najpierw jednak należy zapytać, czym był KOR, nie ulega bowiem kwestii, że reprezentował znacznie więcej aniżeli trzydziestu członków komitetu *sensu stricto*, wymienionych jeden po drugim w podziękowaniu pierwszego Zjazdu Solidarności.

Inicjatywa wyszła od młodych, Macierewicza, Borusewicz, Wujca, Chojeckiego, Naimskiego i innych, zdecydowanych nieść pomoc prześladowanym robotnikom. Oni pierwsi biegali od sądu do sądu, aby asystować przy wytaczanych robotnikom rozprawach, oni szukali ofiar i ich rodzin, organizowali zbiórki i zebrane pieniądze rozwozili potrzebującym. Bici w korytarzach sądowych przez milicję albo „nieznanych sprawców”, zatrzymywani, niezorganizowani i pozbawieni oparcia, byli całkowicie bezbronni. Wtedy wpadli na pomysł, aby założyć komitet złożony ze słynnych osobistości, które dały już wyraz swej niezależności. Jeśli wierzyć licznyemu świadectwom, ich entuzjazm nie znalazł echa u starszych. Sceptyczni, nie myśleli, by taki komitet mógł przetrwać nieuniknione represje, jakie musiały nań spaść. Mimo to zdecydowali się w końcu nadać swej solidarności z robotnikami konkretny wyraz.

Koncentryczne kręgi

KOR od początku symbolizował ruch znacznie szerszy aniżeli ścisłe jądro komitetu. W miarę jego sukcesów i coraz liczniejszych symptomów pogłębiającego się kryzysu, ruch rozszerzał się, by w końcu ogarnąć dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet. Ile ich właściwie było? Nie sposób na to odpowiedzieć, bo nie ma jednego kryterium przynależności do opozycji. Ruch obejmował koncentryczne kręgi. Pierwszy krąg stanowili członkowie komitetu i kilkuset najaktywniejszych działaczy, zdecydowanych działać jak wolni ludzie w wolnym kraju, z podniesioną przyłbicą, jakąkolwiek cenę przyszkłoby im za to zapłacić. Wyrzucani z pracy, relegowani ze studiów, poddani codziennym policyjnym szykanom, zbierali informacje, aby bezprawie, samowola i przemoc nie pozostawały bezimienne. Korowska siatka informacyjna, której epicentrum stanowiło mieszkanie Jacka Kuronia, była jednym z największych sukcesów KOR-u. Miała wielkie osiągnięcia i odegrała ogromną rolę, kiedy od początku 1980 roku Polskę zaczęły zalewać kolejne fale strajków. Dzięki niej robotnicy z jednego regionu dowiadywa-

li się, czy strajkują i jakie rewindykacje wysuwają inni. Korowcy przemierzali całą Polskę. Trafili do rządowego ośrodka wypoczynkowego pod Arłamowem, żeby stwierdzić, że zwierzyzna, hodowana tam dla rozrywki notabli i ich polujących gości, dewastuje uprawy okolicznych chłopów; byli na Śląsku, aby zbadać warunki pracy w kopalniach, i prosto stamtąd udawali się na proces wysokiego urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości, który jednym strzałem karabinu zabił chłopskie dziecko.

W tym szerokim ruchu KOR odgrywał kilka odrębnych ról. Założony w dużej mierze jako parasol ochronny, stał się w rzeczywistości ośrodkiem ruchu, jego najwyższym autorytetem i inicjatorem większości jego inicjatyw. Stało się tak, bo składał się z ludzi obdarzonych nie tylko wielkim autorytetem, reprezentujących ciągłość polskich aspiracji demokratycznych i wolnościowych, ale też z ludzi od lat zaangażowanych w ruch oporu, Kuronia, Lipskiego, Macierewicza, Michnika, Blumsztajna, Lityńskiego i innych.

Drugi krąg stanowiły tysiące anonimowych współpracowników komitetu. To oni przeprowadzali sondaże, pod pseudonimami publikowali ich wyniki w prasie podziemnej, organizowali zbiórki itd. Do tego kręgu należy również przypisać licznych intelektualistów, którzy publicznie brali w obronę prześladowanych, podpisywali apele.

Trzeci krąg stanowili ci wszyscy, którzy wspierali ruch składkami pieniężnymi (w 1976 roku oburzenie było tak wielkie, że pieniądze na KOR zbierano nawet w niektórych ministerstwach), kupowali niezależne publikacje i przekazywali je innym.

Filozofia społeczna KOR-u wychodziła z założenia, że nie wystarczy sprzeciwiać się złu – należy przeciwstawić mu własne inicjatywy: w ten sposób uda się odbudować społeczeństwo cywilne. Różne niezależne od KORu inicjatywy społeczne rozwinęły się pod jego skrzydłami, zbrojne w jego siatkę informacji i często w jego wsparcie finansowe. Myślę przede wszystkim o prasie, o Biuletynie Informacyjnym, pismach literackich, kwartalnikach „Zapis” i „Puls”, periodykach politycznych, takich jak „Głos” (wydawany przez ludzi bliskich Macierewiczowi) i „Krytyka” (związana z Kuroniem i Michnikiem), o chłopskim czasopiśmie „Placówka” i o „Robotniku”, adresowanym do robotników i częściowo przez nich redagowanym, przy współpracy Lityńskiego, Wujca i Borusewicza. W tym samym czasie Chojcecki wraz z grupą współpracowników założyli wydawnictwo NOWa, które chlubi się dziesiątkami wielkiej wagi książek, powieści i esejów politycznych. To NOWa wydała Solżenicyna i Güntera Grassa, Orwella

i Gombrowicza, nie mówiąc już o Miłoszu. W chwili kiedy dostał Nobla, NOWa była jedynym polskim wydawnictwem, które mogło pochwalić się jego nazwiskiem w swoim katalogu.

Wiosną 1977 roku związani z KOR-em studenci wpadli na pomysł, by stworzyć Studenckie Komitety Solidarności. Z nich wywodzi się wielu późniejszych działaczy Solidarności i Niezależnego Zrzeszenia Studentów, założonego po sierpniu 80 i rozwiązanego, jako pierwsza organizacja do rozkurzu, po ogłoszeniu stanu wojennego.

KOR, a ściślej mówiąc atmosfera, jaką stworzył, leżał też u zaczątków Stowarzyszenia Kursów Naukowych, zwanego Uniwersytetem Latającym dla upamiętnienia tajnego nauczania w czasach rozbiorów i drugiej wojny światowej. Założony przez około stu uczonych, pisarzy i artystów, Uniwersytet Latający organizował wykłady w prywatnych mieszkaniach kilku wielkich miast Polski, wydawał własne serie wydawnicze, organizował konferencje naukowe i tak dalej. Uniwersytet był całkowicie niezależny od KOR-u, ludzie w nim wykładający niekiedy czuli się KOR-owi obcy, ale powstał dzięki KOR-owi i jego pomocy.

Największy jednak wpływ wywarł KOR, jak pokazała historia, na środowiska robotnicze. Nakład „Robotnika”, którego pierwszy numer wydano jesienią 1977 w kilku tysiącach egzemplarzy, podczas sierpniowego strajku 1980 roku osiągnął kilkadziesiąt tysięcy. Najszerze echo znalazł wśród robotników Gdańska, gdzie latem 1978 roku ukształtował się komitet założycielski wolnych związków zawodowych z własnym pismem, „Robotnikiem Wybrzeża”, ściśle związanym z „Robotnikiem”. Komitetem założycielskim kierował Bogdan Borusewicz, a Biurem Interwencyjnym KOR-u Andrzej Gwiazda. Do najbliższych współpracowników KOR-u na Wybrzeżu należeli Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska, Bogdan Lis i Lech Wałęsa. Wszyscy okazali się głównymi postaciami wielkiego strajku sierpniowego.

Komitety Samoobrony Chłopskiej też zrodziły się z atmosfery, jaką stworzyła opozycja demokratyczna i pod jej opiekuńczym skrzydłem. W tym środowisku szczególnie aktywni byli Wiesław Kęcik i jego żona, redaktorzy „Placówki”, współzałożyciele Uniwersytetu Chłopskiego, na którym wykładali liczni działacze KOR-u i Ośrodka Badań Chłopskich, zorganizowanego przez rejonowe komitety samoobrony chłopskiej.

Wszystko to wyznaczało polityczny wymiar ruchu. Należy podkreślić, że KOR był instytucją polityczną w jednym tylko sensie: tym mianowicie, że

wszyscy jego członkowie i sympatycy zdawali sobie sprawę z konsekwencji swych czynów, wiedząc doskonale, że w ustroju totalitarnym, nawet rozkładającym się, wszelkie aspiracje do większej autonomii społeczeństwa władza nieuchronnie interpretuje jako zamach na swoje prawa.

Jednak w wąskim rozumieniu słowa KOR nie był i nie mógł być organizacją polityczną. Po pierwsze, nie miał żadnego programu, a jego członkowie reprezentowali szeroki wachlarz poglądów i tendencji politycznych. Nie zmierzał do obalenia władzy ani tym bardziej do jej objęcia. Było jednak całkowicie naturalne, że na marginesie jego działalności rodziła się refleksja polityczna, która z czasem stała się integralną częścią ruchu, i że KOR starał się wpisać swą walkę obywatelską i społeczną w szerszą perspektywę walki o wyzwolenie polityczne i narodowe Polski. Było to zjawisko tyleż widoczne, co zrozumiałe, zażarte dyskusje i coraz ostrzejsze podziały polityczne pogłębiały się w miarę jak rozszerzał się ruch i precyzowała perspektywa rychłej katastrofy. Myślę przede wszystkim o różnicach między KOR-em i innymi ruchami opozycyjnymi, ale także o konfliktach wewnątrz samego KOR-u: na przykład trzej jego działacze opuścili KOR, bo bardziej do nich przemawiała nacjonalistyczna retoryka Ruchu Obrony Praw Człowieka, tzw. ROPCiO.

Wśród korowskiej młodzieży – bo starszyzna pozostała w zasadzie wierna literze społecznych zadań KOR-u – zarysowały się dwa nurty, z których żaden nie został jasno wyartykułowany. Pierwszy, za którym stali Kuroń, Lipski, Michnik, zmierzał do sformułowania nowoczesnej myśli socjalizmu demokratycznego, dostosowanej do warunków polskich. Należała do niej rzecz jasna krytyka lewicy totalitarnej, ale też pewnych tradycji socjalizmu demokratycznego. Krytkowano na przykład ateizm, przesadne zainteresowanie zagadnieniami władzy i państwa, obojętność wobec problemów autonomii człowieka, filozofię postępu i tak dalej.

Drugi nurt, przypisywany przede wszystkim tygodnikowi „Głos” i Antoniemu Macierewiczowi, skupiał się na kwestiach wyzwolenia narodowego i tradycji narodowej, a zagadnienia społeczne relegował do poziomu solidaryzmu. Oba kierunki opowiadały się wprawdzie za wyzwoleniem narodu i demokratyczną organizacją życia społecznego, ale różnie rozkładały akcenty. Faktem jest, że podziały w łonie KOR-u, które zresztą nigdy nie przekroczyły granic rozsądku, wynikały bardziej z tradycji i doświadczeń jednostek aniżeli z rzeczywistej przeciwnych opcji politycznych.

Po sierpniu

Przed podpisaniem porozumień sierpniowych strajkujący postawili warunek: aresztowani w czasie strajku działacze KOR-u muszą zostać zwolnieni. I rzeczywiście 1 września 1980 roku wyszli na wolność. W tej samej chwili pojawił się problem ich uczestnictwa w Solidarności. Pewne grupy intelektualistów, uprzednio blisko związane z KOR-em, uważały, że jego członkowie powinni trzymać się z dala od związku. Ich zdaniem należało koniecznie poszukiwać *modus vivendi* z władzą i jak najszybciej włączyć związek zawodowy w system, w przeciwnym razie groziła bowiem katastrofa: obecność na scenie politycznej korowców, których uprzednia działalność nie mogła zostać przez władze zaakceptowana, mogła tylko zaszkodzić sprawie związkowców... Wielkie zwycięstwo KOR-u, którego nikt nie podważał, ani przyjaciele, ani wrogowie, stało się w ten sposób gorzką osobistą klęską jego działaczy. W rzeczywistości jednak ich popularność, autorytet i temperament spowodowały, że zostali w końcu wchłonięci przez nowy ruch. Oznaczało to wyrok śmierci na KOR jako autonomiczną formację. Pojawiło się wprawdzie jeszcze kilka deklaracji, przygotowujących zniknięcie, ale w gruncie rzeczy od września 1980 KOR już nie istniał.

Niektórzy jego członkowie (jak Jan Józef Lipski, Zbigniew Romaszewski, Henryk Wujec) weszli do władz związkowych. Inni zostali różnego typu doradcami (Jacek Kuroń, Jan Lityński, Adam Michnik, Andrzej Celiński). Jeszcze inni rzucili się w wir pracy organizacyjnej, prasę i informację. Stosunek do KOR-u nadal jednak dzielił Solidarność. Nie było zebrania, na którym by Lech Wałęsa nie musiał odpowiadać na pytania z nim związane. Kiedy wybierano władze związkowe, pytanie o KOR zadawano wszystkim kandydatom. Powody tego zainteresowania były bardzo liczne.

Niektórzy dali się przekonać natrętnej, bezpardonowej propagandzie, jakoby tylko jedna mała grupka ludzi sprzeciwiała się wytęsknionej ugodzie z władzą. Przedstawiając KOR jako ruch nieodpowiedzialnych ekstremistów, którzy doprowadzą do inwazji sowieckiej na Polskę, władza zdołała zmanipulować pewne środowiska. Z drugiej strony, mit KOR-u zachował do końca swą uwodzicielską moc. Wystarczyło, by jakiś robotnik powołał się na swe przedsierpniowe związki z opozycją, by jego szanse w wyborach poważnie wzrastały. Ta popularność nie była pozbawiona dwuznaczności. Ci, którzy zaangażowali się dopiero w sierpniu 80 roku, mieli naturalnie skłonność do liczenia czasu od tej daty. Sam fakt wcześniejszego zaangażowania

zowania stawiał przed wieloma ludźmi poważny problem moralny: a my? Dlaczego nie zbuntowaliśmy się wcześniej? Dla jednych odpowiedzią był podziw dla KOR-u. U innych odpowiedź przybierała formę psychologicznie równie zrozumiałą, mianowicie potrzebę deprecjacji. Jak to się stało, zapytywali, że intelektualiści mogli jawnie, niemal bezkarnie działać, podczas gdy innym nie wolno było słowa pisnąć? Władza podszeptowała odpowiedź, która niejednego przekonała: członkowie KOR-u są stalinowcami, insynuowała, którzy zachowali kontakty ze światem władzy. Ich celem jest wyłącznie przejęcie władzy (to pragnienie przypisywano zwłaszcza ludziom wymiaru Kuronia) i nie zawahają się zdradzić społeczeństwa, aby celu dopiąć. Korowcy to Żydzi lub, w prostszym wariacie, osoby znane, pieszczochy Zachodu (w przeciwieństwie do szarego człowieka). Zarzuty te nie cofały się przed paradoksem: zmierzającą tylko do władzy „ekstremę” oskarżano równocześnie o umiarkowanie, synonim podłości i zdrady.

A więc KOR przestał istnieć. Mimo to postrzegany był z zewnątrz, także przez swych przyjaciół, jako ruch ciągle żywy. Dlaczego? Myślę, że po prostu lata wspólnej walki, porażek i zwycięstw, nadziei i beznadziei stworzyły specyficzny klimat i że klimat ten po rozwiązaniu KOR-u nadal go spajał. Nie ulega kwestii, że w szerokim ruchu, jakim jest związek zawodowy, zwłaszcza stworzony z niczego, środowiska już zintegrowane i cieszące się tak ogromnym autorytetem mogły być postrzegane jako zagrożenie. Pewne ugrupowania cierpiały wręcz na psychozę, wszędzie wietrząc korowskie spiski: te były KOR-owi wyjątkowo wrogie. Nikogo jednak KOR nie pozostawiał obojętnym: miał gorących zwolenników albo zaciekle przeciwników. Jedni i drudzy musieli jednak uznać jego zasługi.

Korowcy w dobie Solidarności

Nikt nie wątpił, że narodziny związku zawodowego były wydarzeniem historycznym. I wszyscy wiedzieli, jak kruche to zwycięstwo. Zewsząd czyhały niebezpieczeństwa. Sam związek, świadomy swej siły, mógł przekroczyć miarę i ukazać swój rewolucyjny potencjał. Powiedzmy jasno: groziło obalenie ustroju. Przed tym należało się wszelkimi siłami powstrzymywać: przykład Węgier i Czechosłowacji nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Z drugiej strony, partia się rozpadała, opuszczona przez swych członków, podatna na anarchię i rozluźnienie leninowskich norm. Tu tkwiło

niebezpieczeństwo: na demokratyzację partii nie można było liczyć, nie była do niej zdolna (co więcej, taki rozwój wydarzeń mógł zaowocować inwazją). Jediną nadzieją były negocjacje między potężnym społeczeństwem, zbrojnym nareszcie w autentyczną reprezentację, i władzą, zdolną do zachowania swej tożsamości a zarazem do zaplanowanych ustępstw.

Wydaje mi się, że KOR odróżniał się od swych antagonistów w łonie związku nie swoim postrzeganiem zagrożeń i nie radykalizmem. Jedni i drudzy zdawali sobie sprawę, że polska rewolucja nie może przetrwać bez samoograniczenia. Pytaniem było, jak to zrobić.

Ludzie tacy jak Kuroń czy Michnik, a wraz z nimi, jak sądzę, większość ruchu, który reprezentowali, przeprowadzali następującą analizę. Polska jest teatrem procesu rewolucyjnego. Nie ma co liczyć na zakulisowe przetargi przywódców związkowych z władzą. Taka próba rozwiązywania konfliktów doprowadzić może tylko do katastrofy: przywódcy stracą autorytet, a samoograniczająca się rewolucja zamieni się w rewolucję *sensu stricto*. Aby powstrzymać ruch społeczny, należy przedstawić mu jasną perspektywę, ograniczoną, ale zadowalającą. Aby skłonić go do zaakceptowania bolesnych ograniczeń, trzeba jasno przedstawić grożące niebezpieczeństwa. Czarne nazywać czarnym, białe białym, mówić bez ogródek, nawet jeśli miałyby to rozdrażnić władze w Warszawie i Moskwie.

Nie słowa mogą wywołać czołgi z koszar, uważali Kuroń i Michnik, lecz wydarzenia. Jeśliby wymknęły się spod kontroli. Należy więc nazywać rzeczy po imieniu, przemoc przemocą, władze z moskiewskiego nadania władzą z nadania Moskwy. I należy powiedzieć, że nasze własne bezpieczeństwo każe pogodzić się z imperialnymi interesami Rosji.

Zarzuty radykalizmu stawiane KOR-owi wynikają w znacznej mierze z tej strategii językowej. Wierni korowskiej tradycji mówienia głośno prawdy, korowcy nie chowali się za aluzjami, tylko mówili publicznie to, co inni rezerwowali dla zamkniętych konwentykli. Paradoksalnie ich radykalizm na poziomie języka stał w służbie strategii umiarkowania. Podobnie jak Wałęsa, Kuroń grał rolę strażaka gaszącego wybuchające strajki, a udawało mu się to, bo mówił robotnikom prawdę, dlaczego należy zgodzić się na kompromisy.

Pewien fakt dobrze ilustruje sprzeczność między opinią o Kuroniu a rzeczywistością. Tuż po narodzinach Solidarności, u szczytu sławy, Kuroń uczestniczył wraz z Wałęsą w wiecu na stadionie szczecińskim. Przyjęto go owacją. Każdemu jego zdaniu towarzyszyła burza oklasków. Poza